Numer spóźniony z powodu konfiskaty.

Zeszyt 10. Rok I.

Kwiaty Powieściowe

Lwów 4. Kwietnia 1886. **Tygodnik belletrystyczny.** Wychodzi co niedzielę.

Przedpłata wynosi: we Lwowie rocznie złr. 7·40 — półrocznie złr. 3·70 — kwartalnie złr. 1·85. — Z przesyłką pocztową rocznie 8 złr. — półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr. — Za granicą rocznie 16 marek.

Adres redakcji i administracji:
Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.
(Kantor „Drukarni Polskiej“).

Redaktor i wydawca STANISŁAW MANIECKI.

MARZNĄCE FALE.

POWIEŚĆ

przez WALEREGO PRZYBOROWSKIEGO

(C. d.) Rozmowa z Joanną, rozmowa, której Miller lękał się bardzo, choć nie chciał się do tego przed sobą przyznać i do której przez parę dni się przygotowywał, była długą i przykrą. Wiadomość o zamiarze ożenienia się brata z Miną, Joanna przyjęła zimno, spokojnie, ale z błyskawicami w oczach.

— Wolno ci Fryderyku robić co chcesz — mówiła swym głosem surowym i ostrym — ale ośmielę się zwrócić twoją uwagę, że nie jesteś już młody i w twoim wieku nie czas myśleć o ożenieniu. Gdybyś jeszcze wybrał osobę odpowiednią tobie co do lat, poważną, stateczną a nadewszystko zajmującą równe tobie stanowisko majątkowe, nie miałabym nic przeciwko temu. Ale tak, pozwól, że powiem wszystko, co myślę...

— Proszę cię o to Joe.

— Mina jest młodą, bardzo młodą i źle wychowaną. Uważałam, że jest płocha i zalotna. Jej zachowanie się względem młodszego Zaremby, było ze wszech miar naganne. Obawiam się, byś w przyszłości, gdy się z nią ożenisz, nie miał z tego powodu ciężkich zgryzot. Jej matka była także płocha. Poszła za mąż za pierwszego lepszego, który miał ładne wąsiki. Lękam się, by córka nie była taką samą.

Miller słuchał tego w milczeniu chodząc po pokoju z rękami w tył założonemi i paląc cygaro, którego dym wielkimi kłębami wypuszczał. Świadczyło to o jego wzruszeniu. Nic jednak nie mówił i w duszy na każde słowo siostry znajdował odpowiedź i usprawiedliwienie.

— Mina nie jest płocha — mówił sobie — tylko nudziła się w tym ponurym domu moim, z którego siostra zrobiła jakiś purytański dom modlitwy. Z nudów bawiła się i kokietowała może trochę jedynego młodego człowieka, który tu bywał, co jest bardzo naturalne. Jak pójdzie za mnie, jak kupię wieś, jak jej dam tysiące rozrywek potrzebnych dla jej młodości, dla jej żywej, ognistej, ruchliwej natury, to kokietować nikogo nie będzie. Wszystko to są gadaniny zrzędnej, starej panny.

A zrzędna, stara panna prawiła dalej, swym głosem suchym, surowym, dziwnie monotonnym:

— Mina jest płocha pod wielu jeszcze innymi względami. Lubi zabawy, chciałaby błyszczeć, przepada za strojami, za zbytkiem, za wszystkiem, co wiedzie kobiety do zguby. Jeżeli się z nią ożenisz Fryderyku, będziesz musiał dużo wydawać, bardzo dużo, a ciebie na to niestać. Sklep wprawdzie idzie teraz lepiej niż przed paru laty, ale to, co on przynosi, w obec spółki jaką masz z Zerembą, nie wystarczy ci wcale. Czasy są ciężkie i wszystko drogo, bardzo drogo kosztuje. Będziesz musiał naruszyć kapitału, który zdaje mi się nie jest znaczny i nie może być znaczny, a teraz go naruszywszy, szybkim krokiem zbliżysz się do ruiny. Mówię to wszystko, bo uważam za swój obowiązek wypowiedzieć ci co myślę o tem małżeństwie, a ty rób sobie jak chcesz.

Miller i teraz jeszcze uśmiechał się w duszy ze słów siostry. Ona nie wie, jak on jest bogaty, nikt o tem nie wie, bo nikomu o tem nie mówił. On jest miljonerem i zrujnować go nie łatwo. Mina wychowana w ubóstwie nie może mieć pojęcia nawet, co jest zbytek, a na to, czego ona będzie pragnęła, procenta od jego kapitału wystarczą aż nadto. Nakoniec on nie jest ani tak nierozumny, jak siostra myśli, ani tak zaślepiony by się dał rujnować. Będzie wiedział, gdzie i kiedy zatrzymać wymagania swej młodej żony.

Chodził więc po pokoju spokojny, nieprzekonany i śmiejąc się w myśli z obaw Joanny. Jemu wszystko w całkiem innych przedstawiało się kolorach i nie lękał się niczego. Należy mu się wreszcie choć trochę szczęścia, spokoju, sielanki, po życiu spędzonem w ciężkiej pracy i cięższej jeszcze walce. Przez tyle lat wyrzekał się wszystkiego, żył jak mnich, jak asceta, nie na to, by ktoś z jego pracy korzystał. On woli sam użyć owoców tej pracy, użyć rozumnie i oszczędnie.

— Nakoniec — mówiła dalej Joanna nie zmieniając tonu i pozycji — co do mego pobytu przy tobie w razie jeżeli się ożenisz, zdaje mi się, że pragniesz, bym przy tobie pozostała. Zgadzam się nato, a zgadzam się jedynie ze względu na ciebie Fryderyku i na twe szczęście. Będę pilnowała Miny jak oka w głowie i mam nadzieję, że pod moją opieką i moim dozorem nie zbłądzi, czego się bardzo lękam. Pozycja moja nie będzie przyjemną, przyznaję to sama, ale mam do ciebie przywiązanie i nie pozwolę by cię oszukiwano, by nadużywano twej dobrej wiary. Pozostaję więc; oto wszystko co miałam ci powiedzieć, przed czem cię ostrzedz, a teraz rób jak chcesz. Ja już ani opierać się ani zachęcać cię do tego małżeństwa nie będę. Co miałam powiedzieć, powiedziałam i odtąd milczeć będę.

Tego tylko właściwie Miller chciał i oto mu chodziło. Był niezmiernie zadowolony, że siostra tak spokojnie przyjęła wieść o jego małżeństwie i tak łatwo się na nie zgodziła. Obawy jej uważał za przesadzone, za wynik jej podejrzliwej natury, usposobienia zawsze czarno patrzącego na życie. Kontent był i z tego, że pozostaje przy nim. Byłoby mu przykro, gdyby opuściła jego dom. Jego dobra, szlachetna, miękka trochę natura nie lubiła rozterek, wojen, gniewów. Chciałby, żeby wszyscy koło niego byli weseli i szczęśliwi. Zresztą, mówił sobie, myśl Joanny dozorowania mej przyszłej żony, jest wyborną myślą. Do pewnego stopnia Joanna ma racją. Mina nie jest płocha, ale młoda. Młodość jest zawsze lekkomyślna i ma pstro w głowie. Dobrze, że będzie ktoś nad nią czuwał.

Z pociechą więc w duszy, że tak dobrze, tak gładko się wszystko ułożyło, poszedł do Miny i powiedział jej, że Joanna zgadza się na dalszy pobyt w jego domu. Mina przyjęła to pozornie z wielką radością. Biegała po pokoju klaszcząc w białe swe ręce, ale bystry spostrzegacz byłby ujrzał w jej wzroku lekki błysk zadziwienia i niezadowolenia. Ale stało się, trzeba się było cieszyć, więc się cieszyła z tego.

Postanowiono, że ślub odbędzie się zaraz po Wielkiej Nocy, że po ślubie państwo młodzi wyjadą na wieś, którą tymczasem Miller kupi, że sklep oddany będzie na opiekę i dozór starego Łapego, którego prawość była bez zarzutu, że Joanna z nimi pojedzie, że na wsi przepędzą całe lato, zaproszą do siebie Zarembów, będą się tam bawili wesoło i szczęśliwie, że na zimę nakoniec wrócą do Warszawy.

XIV.

W kilka dni potem Miller wyjechał z Warszawy, doniesiono mu bowiem, że w okolicach Buska znajduje się majątek, mający wszystkie wymagane przezeń warunki i który będzie można nabyć za stosunkowo tanie pieniądze.

Kobiety zostały same w domu, z wyraźną już teraz niechęcią do siebie. Joanna, jak zwykle chodziła milcząca i ponura po tym smutnym domu; Mina pewniejsza już siebie, czując się na pół panią tego domu, nie uważała za stosowne zbytecznie starać się o przypodobanie się starej i nieznośnej zresztą ciotce. To też atmosfera stała się tu jeszcze cięższą i jeszcze smutniejszą niż przedtem. W jej ciemnem wnętrzu kryły się pioruny i burze. Obie kobiety widywały się zresztą ze sobą zaledwie parę razy na dzień, to jest przy obiedzie i kolacji; zresztą siedziały osobno. Mina w pokoju Millera zagłębiała się w czytaniu „Przygód kawalera Faublasa“, lub też książek lekarskich, które roztwierały przed nią ciągle nowe, dalekie, nieznane choć przeczuwane horyzonty. Już teraz nie rumieniła się wcale, kiedy jakiś drastyczny opis, skreślony z bezwzględnością naukową, uderzał jej wyobraźnię. Krew teraz inaczej grać poczęła. Nie wypływała rumieńcem wstydu na twarz, ale rozgrzana uderzała we wszystkie pulsa z siłą niezwykłą. Nieraz dziewczyna musiała wstać z krzesła i podejść do okna, by ochłodzić swą twarz, gorejącą ogniem burzących się namiętności.

Raz zastał ją w takim stanie Julek Zaremba. Nie widział się z nią od czasu balu. Przyszedł jakiś kwaśny, smutny, milczący. Mina przywitała go wesoło.

— Pan wiesz — mówiła ze spokojem — że wychodzę za mąż?

— Wiem o tem, przyszedłem pani powinszować...

— Dziękuję.

— Będzie pani miała teraz to, czego pani zawsze pragnęła. Miller jest podobno bardzo bogaty. Otoczy panią zbytkiem, przepychem, wszystkiem tem, co może dać bogactwo. Szkoda tylko, że jest trochę za... stary.

Mówił to, siedząc na krześle z głową nieco w tył przechyloną, nie patrząc na Minę ale w okno, w pochmurne, szare niebo marcowego dnia.

— Wuj nie jest jeszcze tak stary; zresztą dla mnie to wszystko jedno! — odrzekła spokojnie.

— A miłość? — zapytał Julek. — O! za pozwoleniem — dodał widząc, że Mina chce coś odpowiedzieć — niech pani nie sądzi, że ja uważam miłość za jakieś idealne nieziemskie uczucie, jak to trąbią na wszystkie strony ci głupcy romantyczni poeci. Dla mnie jest to uczucie jedno z najbardziej ziemskich, najbrutalniejszych i najcyniczniejszych. Jest ono niczem więcej tylko dążnością do utrzymania swego gatunku...

— Och, cóż znowu! — przerwała Mina.

— Nie inaczej, niestety! Trzeba to sobie raz powiedzieć, trzeba trzeźwo patrzeć na świat. Nudzą mnie już te różowe okulary przez jakie ludzie patrzą na otaczającą ich naturę. Wydaje im się to bardzo poetycznem, a to jest tylko ckliwem. Dla mnie więcej jest poezji w namiętnym, ze wszystkiemi akcesorjami zwierzęcych uniesień i rozkoszy, w brutalnym uścisku młodego chłopca i młodej dziewczyny, niż we wszystkich ckliwych, sentymentalnych a nadewszystko nieprawdziwych opisach poetycznej miłości...

Słuchała go z ciekawością. Wlepiła w niego swe duże, czarne oczy i chwytała ten nowy świat pojęć, jaki przed nią otwierał, z nienasyconem pragnieniem kwiatu, pozbawionego długo rosy. On zaś rozpalał się swemi słowy. Schoppenhauerowski pesymizm upajał go, jak najpiękniejsza poezja romantyczna upajała jego ojców. Rumieniec wykwitł mu na znużoną, zmęczoną, powleczoną melancholijnym smutkiem twarz. Wyprostował się, z oczów ciskał iskry gniewu, usta miały pogardliwy zarys a twarz wyraz wyższości i ironji. Był pięknym bez zaprzeczenia ten młody człowiek w swem uniesieniu, a dziwny kontrast, jaki stanowiła jego twarz młoda, świeża, żądna życia, z pogardliwem traktowaniem spraw tego świata, dodawał mu jeszcze uroku.

— Ale z tem wszystkiem — ciągnął dalej — miłość istnieje i jest stworzona dla młodości. Tylko wtedy jest piękna, jest poetyczna i ma w sobie majestat, jeśli dwoje młodych ludzi pokocha się szczerze i serdecznie.

Umilkł, odetchnął, spojrzał na dziewczynę nie spuszczającą z niego wzroku, ochłódł nagle i zapadł znów w swe apatyczne znużenie. I ona milczała i w duszy mówiła sobie, że ma rację ten młodzieniec. Przypomniała sobie teraz wszystko, co czytała o tajemnicach miłości i na wspomnienie Millera ogarniało ją pewne obrzydzenie. Taki stary, suchy, podobny do pargaminu zawiędłego przez wieki na pułkach benedyktyńskiej biblioteki.

Patrząc na tego młodego człowieka, który przed nią siedział, porównywała ich obu w myśli. Krew wzburzona czytaniem książek, których czytać nie była powinna, wrzała w niej. Z głębi tej krwi, falującej i wirującej niby woda wrząca, podnosiły się jakieś opary, które zasłaniały jej oczy, jakieś dziwne szepty, szmery, głosy głuche i niezdecydowane. Na ustach mimowoli wieszało się jej pytanie: czyż ona nie dozna nigdy takiej miłości, o jakiej przed chwilą mówił Zaremba?...

Upajająca cisza tego dużego i pustego domu, oddziaływała na nią jak narkotyk. Nic się nie poruszyło w pokojach, wszystko drzemało nieprzerwanym snem. A oni byli sami, sami jedni i Julek znów począł mówić:

— Naprzykład ja, dlaczego panią kocham? Wszak duszy pani dotychczas jeszcze dokładnie zbadać nie mogłem. Jedynie upaja mnie zewnętrzna piękność, która odtąd ma być własnością tego...

Nie skończył, wstał, zakrył twarz rękami i począł chodzić po pokoju. Był widocznie silnie wzburzony. Blade światło z okien padało ukośnie na jego czerwoną twarz ukrytą pod palcami rąk. Włosy sobie zburzył i trzęsły mu się na głowie za każdym jego krokiem.

Poszedł w głąb pokoju, oparł się o szafę z książkami i tak stał niemy, odwrócony tyłem do Miny, z twarzą ciągle ukrytą. Niekiedy wstrząsał się całem ciałem.

Zdawało się Minie, że płacze. Zrobiło jej się bardzo przykro. Przecież ona oddałaby mu rękę z ochotą, rzuciła by mu się w ramiona z całem uniesieniem swej młodej, ognistej natury, gdyby mogła.

Ale teraz już zapóźno.

Wstała, zbliżyła się do wciąż odwróconego Julka i opierając mu swe obie rączki na ramiona, pochylając mu się do ucha tak, że uczuł jej gorący oddech, spytała ledwie dosłyszanym szeptem:

— Panie Julianie, czego pan chcesz odemnie?

Odwrócił się nagle i ukazał swą twarz drgającą nerwowo od wzruszenia. Oczy mu pałały, jak dwa ogniska. Chwycił stojącą przed sobą dziewczynę wpół i przyciągnął do siebie.

— Czego chcę? chcę cię mieć, chcę byś do mnie należała, byś była moją, bo cię kocham... kocham...

I całował ją po ustach, twarzy, szyi, pocałunkami pełnemi waru namiętnych uniesień krwi młodej. Z razu nie broniła mu się, ale potem chciała się wyrwać z jego rąk.

— Puść mnie pan! — wołała.

Daremnie! Nie wypuszczał jej z uścizku, a ona czuła, że słabnie w jego ramionach. Pocałunki jego paliły ją jak ogniem. Nie wiedziała co robić, jak się obrócić.

Wtem nagle dały się słyszeć kroki w sąsiedniej sali.

— To ciocia Joanna! — szepnęła Mina — puść mię pan!

Odskoczyła od niego, w oka mgnieniu poprawiła wzburzone nieco włosy i sukienkę i głosem spokojnym, bez najmniejszego drżenia, spytała:

— Cóż! masz pan tę książkę?

Kiedy Joanna weszła z swą groźną, zimną i surową twarzą, zastała oboje młodych ludzi oddzielonych od siebie całą długością pokoju. On szukał z zapałem na pułkach biblioteki książki, ona stała przy biurku, spokojna, pewna siebie, obojętna.

Miller dopiero po tygodniu wrócił ze swej podróży i wrócił zachwycony. Majątek, który jeździł oglądać, nabył na własność. Cuda opowiadał o malowniczem położeniu okolicy, o pałacu zbudowanym w końcu XVIII wieku, pełnym mebli z tej doby, obrazów i wspomnień. Do pałacu przytykał śliczny, stary, zarosły ogród, trochę zaniedbany, ale który małym kosztem da się prędko doprowadzić do porządku. Prócz tego był tam duży staw, rozlewający swe zwierciadlane wody u stóp wzgórza, na którem sterczały ruiny starego zameczyska. Ten pałac i ten ogród, ten widok nakoniec, wart dwakroć stotysięcy złotych, które zapłacił. Gruntu było nie wiele i nie osobliwego. Wszystkiego dziesięć włók i trzy włóki lasu. Kupił więc wszystko jak utrzymywał za bezcen. Włóka wypadła mu dwa tysiące rubli z czemś. Taniej już kupić coś równie pięknego i równie pańskiego nie można było. Pojadą tam zaraz po ślubie, uporządkują wszystko, uścielą sobie wygodne gniazdeczko. W dodatku kąpiele w Busku są zaledwie o dwie mile oddalone. W lecie zjeżdża tam mnóstwo osób, będą więc mieli towarzystwo.

Szybko załatwił się z hipoteką. Zapłacił odrazu cały szacunek gotówką i przepisał tytuł własności na swe imię.

Tymczasem post upływał i przyszła Wielkanoc. Po Wielkiej Nocy odbył się zaraz ślub. Stary, pargaminowy Miller ożywił się niezmiernie, czuł się szczęśliwym i odmłodzonym nad podziw. Na weselu, które zresztą dla dogodzenia Joannie, czemu wreszcie Mina się nie sprzeciwiała, odbyło się cicho, w gronie tylko najbliższych przyjaciół—wypito kilkanaście butelek najkosztowniejszego jakie miał wina. Oczywiście byli na niem i Zarembowie. Zaraz na drugi dzień po ślubie, nowożeńcy mieli jechać do Zalesia, bo tak się majątek przez Millera nabyty nazywał. Joanna miała w parę tygodni później przyjechać do nich. Mówiono o tem Zarembom i zaproszono ich do siebie na lato.

— Przyjadę do pani — mówił Minie Julek — i mam nadzieję, że pani nie przestanie mię kochać...

— Jestem żoną, nie wolno mi słuchać słów pana — odpowiedziała mu, ale oczy co innego mówiły.

On śmiał się z tego i szepnął:

— Mam nadzieję, że tam, w tem cudownem Zalesiu, niedyskretna ciocia nie będzie nam przeszkadzać.

Zarumieniła się na te słowa jak wiśnia i nic nie odpowiedziała.

Nie oburzyła się jednak, nie mogła się oburzyć, choćby chciała. Bądźcobądź czuła żywy pociąg do tego smutnego, pełnego zawsze czarnych poglądów na świat młodzieńca. A przytem wielekroć spojrzała na suchą, starannie wygoloną, pargaminową twarz Millera, i na myśl, że on ma do niej wyłączne, jedyne prawo, groza i obrzydzenie nią owładało. Jak to będzie, co ja zrobię? pytała się samej siebie. Myśląc o tem, kroplisty pot występował jej na czoło i mimowoli rzucała wzrokiem na żywą, młodą, pełną siły i ognia postać Julka Zaremby.

— Smutny los biednych! — szeptała.

Nazajutrz państwo młodzi wyjechali do Zalesia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kwiat szczęścia.

(C. d.) — Od kilku dni spostrzegam pewne pogorszenie w zdrowiu pani, ale pokładam wszelką nadzieję w doktorze Eberhardzie. Wprawdzie Gwido a z nim i mój ojciec nie mają słów oburzenia dla mnie za wprowadzenie tego, może nieco gwałtownego eskulapa, ale jestem pewny, że pani nie podzielasz ich uprzedzenia.

— Nie Henryku! — odpowiedziała Ewelina, zniżając głos przy wymawianiu nazwiska młodego Kronega. — Wierzę, że sprowadziłeś Eberhardta w najlepszej myśli i dziękuję panu serdecznie za to, ale nie zechcesz wymagać, żebym się poddała jego kuracji. Pierwsza wizyta tego dziwnego człowieka przyprawiła mnie o omdlenie.

— Nie chcesz się pani powierzyć Eberhardtowi? — zapytał Henryk a w głosie jego drżała obawa.

— Nigdy! do ośmiu dni zapędziłby mnie do grobu! — odpowiedziała Ewelina stanowczo.

— Nawet gdyby życie pani było nagrodą za chwilowe przykrości?

Pani Ewelina spojrzała niedowierzająco na Henryka, ale nie bez jaśniejszej myśli, która jej przemknęła przez głowę.

— Czy zrobił panu jaką nadzieję w tym względzie?

— Byłbym ostatnim, któremuby się z tem zwierzył, ale znam dokładnie doktora Eberhardta i ręczę własną głową, że ma pewną nadzieję. Stary ten samolub, żyjący w otwartej wojnie z całym światem medyków, który wszystkimi sposobami odpycha od siebie chorych i nie chce słyszeć o żadnej praktyce, nie podjąłby się kuracji tam, gdzieby nie widział pewności powodzenia. Ale zetrzeć w proch diagnozę kolegów, znienawidzonemu Mertensowi dowieść, że się pomylił, a wszystkim adeptom sztuki

lekarskiej zatryumfować pomyślnym sukcesem i wzburzyć żółć powagom na polu medycyny, w to mu graj, to mu się uśmiecha. Oświadczył mi, że bierze panią w kurację — a zatem ma więcej jak nadzieję i wierz mi pani, że całą wiedzę i energję zużyje byle postawić na swojem.

Młoda kobieta słuchała dotychczas w milczeniu, lecz gdy Henryk skończył potrząsła niedowierzająco głową i odpowiedziała:

— Łudzisz się panie Henryku, a co gorsza wierzysz swym urojeniom. Nie wierzę w tę nadzwyczajną umiejętność Eberhardta, ponieważ odbiega w kierunku wręcz przeciwnym od opinji tylu innych lekarzy, którzy się mną zajmowali. Gdyby był rzeczywiście tak znakomitym lekarzem nie zakopałby się w odludnym zakątku, gdzie żyje jak wygnaniec.

— Dziwactwo i nic więcej. Nie znosi ludzi w ogóle, a kolegów lekarzy nienawidzi z głębi duszy— tłumaczył Henryk.

— Nie przekonasz mnie panie Henryku i wypowiadam otwarcie, że za następną wizytą podziękuję mu zupełnie. Radca jest tego samego zdania, a pan Hellmar żądał tego odemnie wyraźnie, gdyż znajduje, że lekarz › rodzaju pana Eberhardta może raczej zabić pacjenta, jak go uzdrowić.

Całe nerwowe rozdrażnienie przemawiało z tych słów i nie ulegało wątpliwości, że doktor Eberhardt przegrał tutaj sprawę. — Henryk milczał... Ułożył kwiat pomiędzy kartami notatki w pugilaresie i zwolna postąpił ku pani Rehfeld, która się odwróciła do okna, chcąc tym sposobem położyć koniec rozmowie przynajmniej co do doktora Eberhardta.

— Ewelino! — wyszeptał młodzieniec nachylając się ażeby uchwycić jej rękę.

Ewelina zadrżała a żywy rumieniec wystąpił na bladą twarz i okrasił ją niezrównanym wdziękiem. Pierwszy to raz nazwał ją Henryk chrzestnem imieniem.

— Gwido żądał żebyś zamknęła drzwi Eberhardtowi — podjął na nowo młody Kroneg — a ja proszę żebyś się powierzyła jego kuracji. Czy będę prosił napróżno?

Ewelina pokraśniała jeszcze silniej, ale sprzeciwiła się temu żądaniu.

— Cała moja natura oburza się na takie obejście... i... nie mam zaufania do tego pana.

— Więc zrób to dla mnie!

Pani Rehfeld przycisnęła czoło do szyby i nie miała odwagi spoglądnąć na mówiącego, ale Henryk nachylił się ku niej i dźwięcznym głosem, pełnym szczerego uczucia wymówił zwolna:

— Ewelino... Ewuniu! dla mnie to zrób!

Jakby pod działaniem niewidzialnej jakiejś siły zwróciła się młoda kobieta ku Henrykowi. Przez kilka sekund spoczęła wzrokiem w jego otwartem spojrzeniu, poczem podała mu rękę, którą młody człowiek z uniesieniem podniósł do ust. — Podzięka była milcząca jak milczącem dane przyrzeczenie.

W niemym zachwycie spoglądali młodzi na siebie i mową ócz wypowiadali wzajemne uczucia i nadzieje, w tem rozległ się na kurytarzu głos radcy:

— Henryku! Henryku! spiesz się bo powóz zajechał!

— Henryk zawsze po swojemu, każe czekać na siebie — ozwał się tuż za radcą Gwido, jak owe echo nieodzowne.

Henryk otrząsł się jak ze snu czarownego, przycisnął namiętnie do ust rękę trzymaną w dłoni i czuł jej lekkie drżenie, które iskrą elektryczną przebiegło po całem ciele i przyspieszyło tętno pulsów.

— Ewelino! liczę na twoje przyrzeczenie, a ty licz na mnie! do widzenia!

Zaledwie Henryk opuścił buduar i przeszedł przez sień do salonu, gdzie Gwido z papą Kroneg czekali na niego gotowi do drogi, weszła Andzia do matki z zapytaniem, czy pan Hellmar może wejść na chwilkę, ponieważ chciałby ją jeszcze raz widzieć przed odjazdem.

— Po co? już się pożegnał!— odrzuciła Ewelina bez namysłu.

— Mameczka niechce go widzieć? — zapytało dziewczę robiąc wielkie oczy z zadziwienia.

— Nie! powiedz mu, że jestem cierpiąca, że... powiedz wreszcie co chcesz.

Andzia oddaliła się natychmiast, ale jeszcze od drzwi spojrzała na przybraną matkę, której może pierwszy raz w życiu nie zrozumiała.

Hellmar przyjął odpowiedź z ubolewaniem, ale nie bez utajonej radości. Cierpienie pani Rehfeld nie mogło być niczem innem, tylko żalem z powodu rozstania się z nim.

Mój Boże! gdyby uwielbiany do niedawna wieszcz był mógł przeczuć co się w kilku chwilach ostatnich odbyło w sercu tej, której serce sądził posiadać niepodzielnie, byłby się porządnie potłókł spadając z wysokości swych wygórowanych marzeń na twardy grunt rzeczywistości. Wszystkie ckliwo-romantyczne zwroty jego poetyckich utworów uleciały jak za powiewem wiatru z serca i głowy rozmarzonej kobiety, ani jeden wiersz nie ostał się w pamięci.

Wszystko wykreśliło jedno słowo: Ewuniu! dla mnie to zrób!

* * *

Rok upłynął po nad głowami pozostałych samotnie kobiet i nic się nie zmieniło w willi Rehfeld, chyba o tyle, że doktor Eberhardt stał się tam codziennym gościem, przyprowadzając czasami z sobą Gilberta. — Stary odludek mieszkał w swem dawnem ustroniu, które nabył dlatego tylko, żeby się uchro-

nić od wizyt różnych ludzi, zachodzących dla oglądnięcia tej na sprzedaż wystawionej realności.

Pani Rehfeld zaniechała na wyraźne polecenie Eberhadta zwykłej wycieczki na południe i ze strachem zgodziła się przepędzić zimę wśród śniegu i mrozów.

Andzia próbowała niejednokrotnie zbuntować mateczkę przeciw nieznośnemu tyranowi, który najmniejszego współczucia nie okazywał na cierpienia powierzonej sobie pacjentki, ale natrafiła na niespodziany upor.

Rozpieszczona i nerwowa pani Rehfeld dziwnie cierpliwą i posłuszną stała się w obec swego lekarza i bez szemrania poddawała się wszelkim jego zarządzeniom, a co najbardziej dziwiło Andzię, to pewien rodzaj wiary i zaufania, które od kilku miesięcy zdawały się owładać mateczką. Ona dotychczas była z doktorem na stopie wojennej. Nie mogła mu zapomnieć pierwszej wizyty i wyrazu: „ta mała“ lecz i następne odwidziny Eberhardta nie przyczyniały się do ułagodzenia jej gniewu. — Zbyt rzadko przyprowadzał z sobą Gilberta, a jeżeli już pozwolił mu towarzyszyć sobie do willi Rehfeld, nie odstępował go na krok, jak ptak drapieżny swą zdobycz, porywał młodego eskulapa z powrotem, pilnując by nawet oczyma nie zabłądził gdzie nie potrzeba.

Miało się już dobrze ku wieczorowi. — Doktor Eberhardt siedział w swoim pokoju obłożony mnóstwem różnych ksiąg i skryptów, gdy wszedł Marcin po listy, które o tej porze zwykł był odnosić na pocztę.

— Pan doktor Gilbert powrócił? — zapytał eskulap nie odrywając się od pulta.

— Jeszcze na przechadzce — odpowiedział Marcin lakonicznie.

— Przynajmniej się teraz pilnuje. Obawiałem się o niego! Mizerniał mi w oczach a ile razy go zapytywałem co mu właściwie brakuje, odpowiadał, że jest całkiem zdrów. Ładnie mi zdrów! wygląda jak dziewczyna w błednicy. Ale natężył się zbytecznie przed egzaminem i od tego czasu datuje się w nim ta zmiana. Czy tam tylko mózgu nie tkwi jakie licho, bo za często się zamyśla i w pracach jego spostrzegam od niedawna jakiś nieład, roztargnienie.

— Kto to wie czy akuratnie w mózgu — zauważył Marcin robiąc przytem wielce podejrzaną minę.

— Co ty się na tem rozumiesz stary ośle! — odburknął Eberhardt. — Spostrzegam u niego zatrważające symptomata choroby mózgowej. Musi zaprzestać pracy i całe dnie przepędzać na wolnem powietrzu.

— On już teraz nic innego nie robi. Całemi dniami okrąża willę tej naszej nowej pacjentki.

— A on tam czego szuka?

— Albo ja wiem! Widzę tylko że od kilku tygodni biegnie prościuteńko do willi, zagląda do okien, okrąża park kilka razy i wraca potem do domu.

— Otóż macie maniactwo bliskie fiksacji.

— A może co innego?

— Głupiś! cożby mogło być innego?

— Miłość!

Doktor zerwał się z krzesła jak oparzony i chwyciwszy Marcina za ramię zawołał:

— Czyś ty oszalał? Mój asystent zakochany?

— Tak panie profesorze! nasz asystet kocha się! Przeczuwałem, że zjawienie się kobiety w naszym domu sprowadzi nieszczęście. Ho, ho! temu stworzeniu co to tak gwałtem wpadło do naszej biblioteki źle patrzało z oczu!

— Ten dzieciak? ta, ta... mała Rehfeld?

— Ta co mnie wyśmiała, mnie starego Marcina.

Doktor odepchnął nogą krzesło i jak podrażniony lew biegał po pokoju. Podejrzywał wprawdzie, że Gilbert upuścił płytę szklanną pod działaniem wzroku Andzi i dlatego pilnie go strzegł od tego czasu, żeby się przypadkiem nie przybliżył do dziewczyny. Sądził że to wystarczało. Odkrycie starego Marcina spadło na niego jak grom, ale wątpił jeszcze.

— Pleciesz stary gawronie rzeczy niepodobne do wiary! Gilbert, ten Gilbert miałby naraz zgłupieć do tego stopnia? Był przecież rozsądnym chłopcem.

— Co to wszystko znaczy! Był rozsądnym a teraz zgłupiał! Ho, ho! kobieta z najmędrszego na poczekaniu zrobi dudka.

— Ależ on ją zaledwie dwa lub trzy razy widział!

— Hej! hej! albo to koniecznie często widzieć potrzeba? Miłość to jak owa zaraza co lata w powietrzu, chwyta się człowieka i paf już go ma! — pouczał Marcin przypominając sobie własne swoje młode lata.

— Dam ja mu miłość! — wybuchnął doktor. — Wychowałem go sobie na asystenta, ale zakochanego gawrona nie potrzebuję. Skręcę mu kark jak wróblowi i tej jego bogdance!

— Wszystko zapóźno! u naszego pana asystenta przepadł rozum — pisze wiersze.

— Co, coś powiedział? — wrzasnął doktor przyskakując z zaciśniętemi pięściami do starego famulusa, ale Marcin nie cofnął się tylko wydobył z zanadrza kartkę papieru zapisaną po obu stronach i podał ją doktorowi.

— Ten szpargał znalazłem na stole naszego pana asystenta.

Doktor odebrał machinalnie zapisaną kartkę i w osłupieniu obracał ją w ręku.

Na jednej stronie była rozpoczęta rozprawa naukowa, na odwrotnej nieszczęsne wiersze, które pod względem formy i rymów wiele zostawiały do życzenia ale zawsze były to wiersze pod adresem panny Rehfeld.

— Zginął! — jęknął Eberhardt padając z komicznym patosem na fotel.

— Kompletnie zwarjował!—zakonkludował Marcin grobowym głosem, przypominającym groźne w średnich wiekach „biada“.

Doktor chciał w pierwszym gniewie zedrzeć na strzępy płody bujnej fantazji swego asystenta, ale pomyślał, że potrzebne mu jako dowód występku, któryby mógł udowodnić winowajcy straszną zbrodnię, złożył więc kartkę starannie i schował ją do pularesa a zwracając się do starego cerbera Marcina zakomenderował krótko:

— Zobaczymy! Jak Gilbert powróci przyprowadzisz go do mnie, a jeżeli to wszystko prawda... pozna on co to ze mną żartować!

— Ho, ho! damy my mu! — zawtórował Marcin a wychodząc z pokoju pomrukiwał do siebie: — kochać się!... szaleć! może się zechce w końcu ożenić? pozna on nas!

Nieszczęsny asystent nie przeczuwał jakie chmury gromadziły się nad jego głową i odbywał zwykłą przechadzkę, to znaczy, okrążał willę Rehfeld z wytrwałością godną lepszej sprawy.

Od czasu do czasu przystawał Gilbert pod żelaznemi sztachetami ogrodzenia, w miejscu gdzie się wznosiła mała altanka, osłonięta dziką winoroślą i musiał się nosić z jakimiś strasznymi zamiarami, bo co chwila oglądał się niespokojnie na wszystkie strony. Altanka była pustą, ale porzucona na stoliku robótka ręczna i pęk niezwiązanych, świeżych kwiatów, świadczyły, że niedawno ktoś tam był i że jeszcze wróci.

Obok kwiatów spoczywał ozdobnie oprawny tomik najnowszych poezyj Gwidona Hellmara, który od tygodnia już bawił pod dachem pani Rehfeld i własnoręcznie złożył u stóp uwielbianej płody swej bujnej fantazji.

Gilbert upewniwszy się, że naokoło nie ma żywego ducha, wydobył z kieszeni ćwiartkę papieru i próbował, włożywszy rękę pomiędzy sztachety. wrzucić świstek do koszyka, ale nadaremnie. Koszyk stał za daleko i nie mógł go dosięgnąć. Nie było innej rady tylko przeleźć przez ogrodzenie, jeżeli rzeczywiście zamiar swój miał doprowadzić do skutku... Zawahał się na razie przed tak heroicznym krokiem, lecz po krótkim namyśle nabrał odwagi i jednym skokiem znalazł się na podmurowaniu. Już schwycił rękami sztachety i wdrapywał się na wierzch, gdy nagle uczuł, że obca jakaś ręka ujęła go za kołnierz i ozwał się głos:

— Za pozwoleniem! w ten sposób nie wchodzi się do cudzego domu.

Biedny Gilbert oniemiał z przerażenia, puścił się sztachet i byłby runął jak długi na trawnik, gdyby go Henryk — on to bowiem przychwycił pana asystenta na gorącym uczynku — nie był podtrzymał silnem ramieniem... Zsuwając się upuścił nieszczęsną kartkę, dla której ważył się na tak niebezpieczną a raczej arcydziwną ekspedycję.

— A!.. to pan doktor Gilbert! — przywitał Henryk wesołym śmiechem zastraszonego eskulapa.

— To... pan.. pan panie Kroneg? — wybąknął Gilbert w najwyższem pomięszaniu. — Cieszę się bardzo, że na tej drodze...

— Na której omal co nie wziąłem pana za złodzieja... Przepraszam, że pana może niezbyt delikatnie ująłem, ale co miały znaczyć te ćwiczenia gimnastyczne?

Gilbert szukał w głowie naprożno jakiejkolwiek odpowiedzi i ku najwyższemu przerażeniu spostrzegł swoją kartkę u stóp Henryka.

Idąc za wzrokiem oniemiałego asystenta spostrzegł młody Kroneg jakiś papier na ziemi, podniósł go, a rzuciwszy nań okiem cofnął się o krok z niemałem zdziwieniem.

— Panie! to moja własność! proszę o nią! — upomniał się natarczywie Gilbert wyciągając rękę po kartkę.

— Za pozwoleniem! — odrzekł Henryk cofając się nieco — zdaje mi się, że mnie ona także nieco obchodzi.

Był to odpis tych wierszy, które stary Marcin prawie równocześnie wręczył doktorowi Eberhardtowi.

Pierwsza próba rymotwórcza młodego eskulapa nosiła tytuł: „Do Andzi!“ Wyraz ten powtarzał w każdym wierszu prawie i wcale nie dwuznacznie myśl główna była skierowana do panny Rehfeld.

Straszne myśli przesuwały się po głowie Gilberta na widok tych wierszy w ręku narzeczonego tej, do której się odnosiły. Wprawdzie pan narzeczony nie miał wcale groźnej miny i siłą zwalczał w sobie chętkę do śmiechu, lecz któż może ręczyć za dalsze następstwa?

— Proszę! więc pan jesteś poetą? Nie na żarty robisz pan konkurencję Hellmarowi! i jaką jeszcze! — ciągnął Henryk, przybierając wyraz surowej powagi.

— Wiem, że pana dotkliwie obraziłem samym karygodnym zamiarem — wyrzekł Gilbert — ale...

— Broń Boże! — zaśmiał się Henryk z całej piersi, nie mogąc się dłużej powstrzymać — i gdybym był przeczuł w jakich zamiarach chcesz się przegimnastykować przez te sztachety, byłbym panu nie przeszkadzał.

— Mój panie! — odparł Gilbert, dotknięty do żywego śmiechem Henryka. — Pan mnie masz widocznie za tchórza i zdaje ci się, że można sobie ze mnie drwić bezkarnie, ale pan się myli. Przyjmuję pańskie wyzwanie! będziemy się bić!

— Z całą ochotą, jeżeli to panu sprawi przyjemność, ale nie przypominam sobie, żebym pana dotychczas wyzwał, powtóre wyszedłbyś pan z tej

utarczki nieszczególnie. Robię bronią znakomicie, strzelam jaskółki w lot... ot! wiesz pan co? załatwimy tę sprawę zgodnie. Jestem tutaj także incognito, ponieważ chcę zrobić komuś niespodziankę. Przeleźmy razem przez sztachety, a tam w altance pogadamy swobodnie.

Gilbert spoglądał na mówiącego z pewnem niedowierzaniem, jak gdyby go posądzał o lekkie pomięszanie, ale widząc, że Henryk wspina się na sztachety i jednym skokiem znalazł się w parku dokąd go zapraszał powtórnie, bez dalszego już namysłu poszedł wskazanym sobie śladem i jednym rzutem znalazł się obok Henryka. (C. d. n.)

Potęga prawdy.

(C. d.) Uporawszy się cokolwiek z panami, Detlew z odwagą nieustraszoną dał się unieść prądowi. Piękne rączki odrzucały go niby piłkę, jedna drugiej, a pulares okazujący zrazu boki potężne, wypchane banknotami, malał i chudł w oczach. Jak pieniądze, tak płynęły mu z ust pochwały, wygłaszane na pozór z najwyższym zachwytem. Siostrze zaś na ucho szeptał zupełnie coś innego.

— Pani! — wyciągnął ramię z gestem patetycznym, wskazując na jakąś miotłę z traw zżółkłych i kwiatów barwy nieokreślonej, niby ścierka źle wyprana, która miała pretensję naśladować bukiety *a la Makart*. — Czy mógłbym być na tyle śmiałym i prosić o tę przecudowną, artystycznie ułożoną wiązankę?!

Rzecz naturalna, iż prośbę piękna brunetka raczyła wysłuchać i miotłę, ułożoną własnemi rączkami, odstąpiła za nędzną sumkę pięciuset marek!

— I są ludzie — szeptał do siostry jednocześnie — którzy kręcą nosem na kwiaty robione! Czyż te wypełzłe kwiatów szkielety mają być czemś piękniejszem? O! stokroć lepiej mi się podobały owe asterki i dalje, które nasza nieboszczka ciocia Ryfka, robiła z migdałów i rodzynek. Te przynajmniej tak nam paradnie smakowały!

Pod jednym z namiotów, sprzedawały trzy gracje, córki jeneralskie, panienki które już trochę w słup poszły, misy różnobarwne.

— Boże wielki! — westchnął Detlew po cichu — i to ma być „majoliką?". Co też kiedyś powiedzą nasi następcy (jeżeli *notabene*, będą mieli więcej niż my poczucia estetycznego) patrząc na te wstrętne skorupy gliniane, któremi moda wszechwładna każe ozdabiać ściany w salonach? A śmieli się z naszej babuni, że pięknie malowane filiżanki i kubki wystawiała na pokaz w salonie, w serwantce oszklonej i zwierciadlanemi taflami wykładanej! Tamto wychodziło z rąk artystów, a to tu lepią prości garncarze. Oj dzieci z nas! wielkie dzieci!

Pomimo tej filipiki kupił sobie dwie misy gliniane, za cenę zastosowaną nie do wartości skorup bezużytecznych, ale do miljonów, któremi młody Krezus rozporządzał.

— Patrz, tam w kącie — skinął na siostrę — siedzi poczciwa Kremplowa ze swojemi podlotkami. Jak Lili i Nini, wyciągają ku nam cienkie szyjki, niby żurawie na posterunku. Trzeba i tym biedaczkom dać coś zarobić, za owe galanterje, ponadtłukiwane, powyszczerbiane, które od lat niepamiętnych pokutują na każdej loterji dobroczynnej. Widzisz! widzisz co za radość! aż im tańczą długie spuszczone warkocze, takie zadowolone, że ku nim nadpływamy.

I kupił to i owo, między innemi ów historyczny, przedpotopowy pantofelek z kwiatów skórzanych, okryty pyłem niby siwizną, a przeznaczony do wieszania na ścianie zegarka. Oświadczył przytem żartobliwie, iż ten pantofelek zachowa dla swojej przyszłej małżonki, aby miała pod czem trzymać wielkiego nicponia Detlewa Löwensterna.

Z kolei przystąpili do namiotu z robotami kobiecemi. Tu sprzedawała sama dyrektorka zakładu „Pracy kobiet". Detlew trzymał w ręce ostatni banknot na tysiąc marek. Wzrok jego błądził tędy i owędy, a złośliwy języczek mełł dalej dowcipnie i trafnie krytykując. Spojrzał na okrągłą poduszeczkę na ciemnym aksamicie kolorami haftowaną.

— Róża nienaturalna! ptak nienaturalny! — udzielał uwag siostrze — i Boże odpuść! pasterz i pasterka, na jednej nóżce zawieszeni, istna para na gnieździe bocianów, a wszystko obwiedzione nitkami złotemi i srebrnemi... Jeżeli tego nie popełniła nasza piękna Helena, jestem tuman!

— Czcigodna pani! — pochylił się nad ladą — z czyich rączek wyszło to arcydziełko niezrównane?

— Z rączek panny Heleny Althaus — uśmiechnęła się dyrektorka. — Masz pan może ochotę nabyć poduszkę za tysiąc marek?

— Ależ z pocałowaniem rączek, łaskawa pani! — głośno wykrzyknął, złożywszy banknot na srebrnej tacy. — A co? Źle odgadłem? — spojrzał na siostrę tryumfująco, a następnie przybrał minę żałośną dzieciaka zadąsanego.

— Asta! przemówże choć słówko, na miły Bóg! Chyba że odgrywasz dzisiaj na cel dobroczynny rolę „Niemej z Portici?". W takim razie pożyczę sobie tacki i zacznę obchodzić w koło twoich licznych adoratorów — rozśmiał się nieznacznie, mierząc z pod oka tłum mężczyzn sunących za nimi, niby wachlarz promienisty za kometą.

— Rzeczywiście, czołem biję, widząc tych panów cierpliwość i wytrwałość niezrównaną! Gdybym był na ich miejscu, od dawna puściłbym cię w trąbę i przeniósł w inną stronę moje afekta.

Znowu, co prawda, odpowiedzi nie otrzymał, pochwycił jednak w lot spojrzenie Asty, kilkakrotnie ku wejściu skierowane z niepokojem prawie... z tęsknotą. Co to ma znaczyć? Czyżby to być mogło? Czyżby na prawdę spodziewała się i czekała niecierpliwie na Romana?

Zjawił się nareszcie.

— Baronie kochany! — rzucił się Detlew ku wchodzącemu, ślizgając się pomiędzy tłumem ze zwinnością jaszczurki wśród żwiru ostrego i rozpalonego słonecznemi promieniami. -- Dzięki niebu żeś przybył! Już mam póty tego! — rzekł z cicha, ruchem ręki wskazując po wyżej uszu. — *A propos*, Asta zbiera na tacę... jeżeliby kto żądał koniecznie, usłyszeć dzisiaj dźwięk jej mowy; ten tam zaś system planetarny — skinął głową nieznacznie w stronę tłumu mężczyzn — zabijająco nudny jak wszystko, co wiecznie a bezowocnie w koło zaklęte wiruje.

Spojrzał w górę ku Romanowi i drgnął nerwowo, że aż z brylantów w szpinkach u koszuli iskry się posypały. Roman bowiem jakby nie słyszał co mówi, szukał oczami roztargniony i niespokojny, którędy się Asta obraca. Tchu mu zabrakło. Poprowadził wprost do siostry najdroższego przyjaciela. Czy i Asty serce tak głośno bije, jak jego w tej chwili?

Uznała za stosowne atoli powitać Romana tylko lekkiem i chłodnem głowy skinieniem. W obu rękach długich a wązkich, o kształtach wielce arystokratycznych, obciągniętych przedziwnej cienkości paryskiemi rękawiczkami, trzymała pięknie haftowane nakrycie na stół, mówiąc o niem ze sprzedającą.

Dyrektorka przewracała kartki w wielkiej księdze i wreszcie głośno przeczytała:

— Numer 135, panna Marta Walther. Aha! już wiem... Córka ubogiej wdowy po urzędniku... Ta bo się pracy wcale nie wstydzi... Haftuje za pieniądze, głównie do magazynu Wissmana — ciszej zaś dodała: — Ile to mamy dziś dam, nawet wysoko urodzonych, które wydzierają z rąk biednym wyrobnicom chleba kawałek; sprzedają przez możną protekcję robotę o wiele gorzej wykonaną, byle za te pieniądze dogodzić pańskim fantazjom. Powiedział mi to sam Wissman w wielkiej tajemnicy, gdym także wnosiła do niego instancją za moją dobrą przyjaciółką, baronową Krachfeld.

Detlew czuł się za Romana srodze dotkniętym w swojej dumie męskiej, że Asta mogła tak na niego wcale nie zważać. Szepnął jej więc tonem szorstkim niemal:

— Dopókiż będziesz słuchała tych babskich plotek?

Roman jednak potrafił ze zręcznością i cierpliwością prawdziwego dyplomaty czekać na chwilę sposobną i wtedy w lot z niej skorzystać. Gdy pauza nastała w opowiadaniu dyrektorki, a panna Löwenstern obracała nakrycie na wsze strony, przemówił z lekkim odcieniem sarkazmu:

— Czyjeż to arcydzieło jest na tyle szczęśliwem, iż przykuło wzrok pani i zyskało jej pochwałę, co tak rzadko się komu udaje?

— Radabym — odpowiedziała — nabyć to nakrycie do mojego salonu. Dawno nie zdarzyło mi się widzieć czegoś, tak skończenie pięknego!

Panowie z kolei obejrzeli robotę.

Na ciemnem tle sukiennem, biegła w koło artystycznie ułożona i cieniowana girlanda z liści olchowych. Jednostajność jej przerywało mnóstwo szczegółów oczy pociągających: muszki i chrząszczyki barwy mieniącej się tęczowo, motyle o świetnych skrzydełkach niby utkanych z drogich kamieni. Punkt ciężkości niejako stanowił szczygieł, misternie uwieszony pazurkami na jednej z gałązek i dziobiący pączki ciemne poniżej listków. Ten był wykonany, tak przez rysującego, jak i przez hafciarkę z artyzmem niezrównanym.

— Rzeczywiście — Detlew potwierdził — robota prześliczna... nie licująca jednak stylem i barwami z twoim salonem Asto.

— W rzeczach sztuki — wtrącił Roman od niechcenia — a do tej kategorji można śmiało zaliczyć wykonanie artystyczne tego nakrycia, jakby ręka, która je stworzyła, posługiwała się nie igłą i jedwabiem, ale pendzlem i paletą... w rzeczach sztuki zatem, trzeba nieraz o stylu zapomnieć. Sztuka niby drzewo olbrzymie wzrasta zwolna, przez setki lat, co raz wyżej i dumniej w niebo strzelając. Co stare, zużyte, obumiera, młode zaś i silne pędy z pnia wyrastają. Dla czegoż nie miałabyś pani umieścić w twoim salonie tego cudownego, tchnącego młodością arcydzieła?

— Zachwyca mnie głównie myśl przewodnia w całym układzie — odezwała się Asta. — Umieszczę nakrycie gdziekolwiek, choćby w mniejszej sali jadalnej. Wprawdzie szczygiełek, po którym łatwo poznać, iż za chwilę skrzydełka błyszczące do lotu rozwinie, mógłby nas wyśmiać ludzi nierozsądnych, robiących tyle ceromonji z codziennem wyżywieniem. On sobie to prościej urządził. Dziobie pączki prosto z drzewa, przewraca koziołka niby najlepszy gimnastyk na trapezie. Szczęśliwe stworzeńko! żyjące tak, jak mu to przyroda wskazuje. O ile szczęśliwsze, i o ile mędrsze od nas.

— Zlituj że się Asto! — Detlew parsknął śmiechem — nie możesz przecie wymagać, żebym za każdą ostrygą połkniętą koziołka wywracał! Przypuszczam jednak, iż szczygiełek przy tym swoim improwizowanym *table d'hote* czuje się się swobodniejszym i więcej zadowolonym, niż my na niejednym paradnym bankierskim obiedzie, gdzie mimo *Chateau d'Yquem* nudzimy się śmiertelnie.

Asta smętnie głową potrząsła:

— Przepych jest częstokroć bardzo nędznym i niedostatecznym szczęścia surogatem — westchnęła.

— Jest atoli niezaprzeczenie bardzo miłym do szczęścia dodatkiem — Roman zauważył z uśmiechem dobrodusznym. — Nie możemy się już prawie obejść bez niego, tak w nas wyrobiło się i wydelikatniało poczucie piękna. Czasem wprawdzie myślą wracamy i marzymy o minionej bezpowrotnie epoce sielankowej, o „domowem ognisku“ w najrozciąglejszem tego słowa znaczeniu... Jakżeby nam jednak było nie swojsko, jakby nas gryzł dym w oczy i raził dotkliwie smak estetyczny komin poczerniały z wielką kapą ceglaną, na środku lichej izdebki pod słomianą strzechą.

— Drobnostka!—Detlew wykrzyknął energicznie protestując. — Wszystko od tego zawisło, ktoby obok nas zasiadł przy tem ognisku dymiącem. Możeby nam było tak błogo, żebyśmy o reszcie świata zapomnieli. Głównym warunkiem jest dobranie się pary, szczerze i nawzajem rozkochanej. Wtedy będzie im obojętne, czy szczęście ich mieści się w pałacu, czy pod ową sielankową strzechą słomianą.

— Mój ty najpoczciwszy naiwny braciszku! — Asta uśmiechnęła się boleśnie. — Szukaj z latarnią, a nie znajdziesz pary tak dziecinnej, któraby się zadowolniła „chatką pustelnika“. Dzisiejsze pokolenie o wiele łatwiej umie się bez serca obchodzić.

— Nikt nie może być za to odpowiedzialnym, w jakiej epoce na świat przyszedł — Roman odrzucił — i nie zdoła sam jeden iść przeciw prądom ogólnym. Każda próba spełznie na niczem, skoro zechcemy to galwanizować co zmarło od dawna. Wszelkie zachcianki sielankowe, musiałyby się dziś wydać nędzną farsą. Doświadczyli tego Goethe i Karol August w latach młodocianych. Jak powierzchownie nie możemy przyodziać skór niedźwiedzich, któremi niegdyś przyodziewali się Germani, tak samo musimy powstrzymywać się w namiętnych wybuchach z owej epoki zamierzchłej. Wtedy chuć zmysłowa, niczem nie okiełzana, zwykła była siłą brutalną wszystko zdobywać pięścią po prostu, łamała wszelkie zapory. Miłość czy nienawiść równie dziko wtedy się przedstawiały. Im wyżej sięgał duch narodu, tem więcej łagodniały obyczaje. Wielce na tę zmianę wpływały nauki ścisłe, sztuki piękne, przykłady krajów ościennych, a głównie wpływ religji chrześćjańskiej, powściągającej ludzkie namiętności. Trudno jednak wykorzeniać, nie łamiąc i nie niszcząc. Tak i w nas zniszczono siłę pierwotną; my już dziś nie potrafimy czuć i działać, tak namiętnie unosić się dzikim szałem. Przekonaliśmy się atoli — kończył, wpatrując się w Astę znacząco — iż powinniśmy wytknąć sobie w życiu, jako cel najwyższy, wyszukanie duszy nam pokrewnej, istoty, któraby z tego samego szczytu niedostępnego dla tłumów pospolitych, patrzała razem z nami na ustrój społeczny, która zdolną by była nas zrozumieć i wartość naszą ocenić.

Detlew był unicestwiony!

— Takie to strasznie rozumne, że aż dreszcz przenika od pięt aż do głowy! — powiedział sobie w duchu z cichem westchnieniem. — Szczególny sposób starania się o względy młodej i pięknej panny, zapowiadając z góry: „Termometr serca mojego dziesięć stopni poniżej zera!“

Roman zwrócił się do stolika, gdzie córka radcy, którego przysłano ze stolicy, na miejsce pana Althaus, świeże kwiaty sprzedawała. Ten wydział był od dawna Helenie przeznaczony. Mama przezorna wszelkich do tego starań dołożyła. Obecnie nikt o niej nie pomyślał. Skoro kto usunie się z towarzystwa, zapada w otchłań niby owe duchy zjawiające się w teatrze. Trzask! podłoga się zasuwa i świat przechodzi nad znikającym do porządku dziennego, grając dalej życia komedję.

Löwensternem miotał gniew wściekły w obec spokoju niewruszonego i lodowatej obojętności, tak Asty, jak i Romana.

— Żebym cię mógł przynajmniej szczęśliwie odwieźć do domu! — szepnął tonem sarkazmu zjadliwego. — Gotowaś przemienić się w słup solny, na wzór żony Lota. Może to była jaka nasza prababunia i tobie ten talent przekazała!

— Musisz mnie przyjąć jaką jestem — odpowiedziała ze smutną rezygnacją. — Nie będę już inną niestety! — dodała, spiesząc za panią Bertrand, która kroczkiem drobniutkim, kaczkowatym, ku drzwiom głównym zmierzała.

— Dzięki niebu! — poprawił szarmancko Gehren, który w tej chwili do nich się przyłączył z bukietem w ręku. Z uśmiechem ożywiającym i rozpromieniającym rysy klasyczne, ale zwykle owiane melancholją i wyrażające li dumną nieprzystępność, tak mówił dalej: — Radbym wiedzieć w czem byś pani chciała się zmienić?

Spłonęła rumieńcem, jak każde najpospolitsze, młode dziewczątko, zmięszane i zakłopotane. To co szepnęła żałośliwie nie licowało z wyniosłą obojętnością damy wielkoświatowej:

— Możeby mi i lepiej było z odrobiną ułudy... z wiarą ślepą...

Roman potrząsł głową, uśmiechając się z lekkim odcieniem sarkazmu.

— Mnie pani wierz, iż nigdy nie możemy patrzeć na świat i ludzi nadto jasno. Nie miałem jednak zamiaru staczać walki na jakiem bądź polu; chciałem tylko prosić usilnie, żebyś pani raczyła przyjąć łaskawie, tę oto kwiatów wiązankę.

Wsadziwszy ją do powozu podał bukiet, za co ona niemem skinieniem głowy podziękowała.

Detlew usiadł z przodu naprzeciw dwóch pań, Gehren cofnął się z niskim ukłonem na chodnik, konie ruszyły z miejsca kłusem wyciągniętym.

Asta wcisnęła się w poduszki atłasowe, bezsilna, prawie omdlewająca. Bukiet trzymała machinalnie obiema rękami. Kwiaty zdawały się naturalnie ułożone, skoro się jednak który odgięło, ukazywała się moc drucików, sztucznie podpierających każdy listek z osobna. Barwy były modnie dobrane, jakieś dzikie i nieokreślone. Róże po środku li kształtem tę kwiatów królowę przypominały. Ceglaste, sine, lub cieliste pachły „Dżokej-Klubem“, „Opoponaksem“, tylko nie różą. W około nich wiły się misternie ułożone storczyki, występując aż po za koronkę pysznego, atłasowego *porte-bouquet*. Wiązanka była bez zarzutu. Ułożona wspaniale i artystycznie, była wiernem odbiciem ofiarodawcy... wiało od niej zimno, krew w żyłach ścinające.

Detlew dumał i kombinował ze swojej strony. Tylu dziś ludzi bzikuje w różnych kierunkach. Może to i u niego rodzaj bzika, wyobrażać sobie, iż Asta z Romanem powinni pokochać się nawzajem namiętnie i całą duszą? Dotąd, co prawda zdawali się grać z sobą w „ślepą babkę“. Skoro jedno szło w prawo, oho! drugie z pewnością w lewo susa dawało.

Wzrok jego padł przypadkiem na kwiatów wiązankę i nie mógł się wstrzymać od wykrzykniku rozpaczliwego:

— Może to modne i piękne, ale niech zginę, czy nie milszą by mi była nasza prosta, poczciwa centofolja, otoczona cudnemi domorodnemi niezapominajkami, niż taka *haute noveauté* wymuszona, wykrygowana i wbita na drut, niby męczennik na palu!

I oto stało się coś niesłychanego, coś, czego się najmniej mógł spodziewać. Asta bukiet na przednie poduszki cisnąwszy, ramiona bratu na szyję zarzuciła a tuląc główkę do jego piersi, przez pół ze śmiechem, przez pół z łkaniem nerwowem, jakby oddawna żal w sercu tłumiła i chciała wreszcie ulżyć sobie ciężaru, zawołała głosem urywanym:

— Boże! dzięki Ci! że jeszcze tacy jak Detlew chodzą po świecie!

Bratu mało serce nie pękło. A on ją śmiał znieważyć, nazywając słupem solnym! Przez dnia resztę nie mógł się opamiętać, jakby w niego nagle piorun wypalił.

* * *

Mgły jesienne kładły się co raz częściej po nad łączką nad ruczajem, zostawiając po sobie krople gęste, zimne i ciężkie, pod któremi uginały się i żółkły źdźbła trawy. Olchy liście traciły, a i te co pozostały, wyglądały niby twarz zwiędła i pomarszczona, okryta szarym, gazowym welonem. Niebo wisiało po nad smętnym krajobrazem ołowiane, roszące kiedy niekiedy prawdziwym kapuśniaczkiem.

Zmrok zapadał — na ścieżce było pusto jak wymiótł. Któżby miał ochotę w taką plutę jesienną odbywać za miasto spacery?

Cień jakiś wysunął się z gęstwiny i małe nóżki kobiece poczęły biedz szybko do kamienia pod olchą.

Była to Marta, szukająca w zwykłej kryjówce, pomiędzy dwiema płytami wieści jakiejkolwiek. Nie raz tutaj znajdywała bądź czuły bilecik, bądź zaproszenie na jaką daleką wycieczkę we dwójkę z Maksem. Teraz od kilku tygodni nic znaleźć nie mogła.

Nigdy może tak srogo nie odczuwała, w tak jaskrawem świetle się nie przedstawił poniżający ją stosunek. O śmierci ojca narzeczonego dowiedziała się z dziennika; nie ośmieliła się nawet pójść z innymi na pogrzeb i rzucić wieniec na trumnę nieboszczykowi.

Dziś nareszcie przeczucie jej nie omyliło. Mimo ciemności natrafiła w szczelinie na papier szeleszczący.

Skoczyła na środek łąki, aby korzystać z ostatnich dnia blasków i drżącemi palcami rozdarła kopertę. Było kilka wierszy zaledwie:

„Wszystkie moje nadzieje spełzły na niczem. Muszę wyrzec się ciebie a jednocześnie pożegnać się ze szczęściem jedynem... na zawsze. Komu raz przeznaczono utonąć bezpowrotnie, temu każda próba wydobycia się na wierzch do tego tylko służy, aby prędzej zniknął w otchłani. Żegnam Cię Marto!“

Skamieniała. Usunęła się na ziemię wilgotną, czuła bowiem, że gną się pod nią kolana.

Być że to mogło?

Tu w tem samem miejscu, zaklinał ją na wszystko co święte, żeby go nie opuszczała. A działo to się tak niedawno. I rzeczywiście nie była w stanie mimo całej energji i silnej woli, zadać mu cios bolesny, wypowiedzieć słowo stanowcze. Czego ona tak silna dokazać nie mogła, on potrafił z całą swoją słabością i chwiejnością. Żegnał się z nią... na zawsze.

Coś ją za serce ściskało i w gardle dławiło. Czuła zamęt w głowie, przed oczami latały płatki czarne i czerwone. Z wytężeniem nadludzkiem, starała się myśli bezładne zebrać i uporządkować.

Nie wiedziała jak długo tak siedziała, wiek cały czy chwilę przelotną... dość na tem, że jej życie było odtąd złamane.

Podniosła się z trudem niemałym. Trzebaż teraz matkę o tem uwiadomić. Boże wielki! Jeszcze i to w dodatku!

Jak ona święcie wierzyła, jakie stawiała zamki na lodzie... że teraz wszystko zmieni się na lepsze, wejdzie na inne tory. Tak się gorąco modliła, żeby Opatrzność pozwoliła jej kiedy stanąć na równi z rodziną Maksa, Bóg tymczasem w swej mądrości i sprawiedliwości ich dumę ukarał, strącając z wyżyn dla niej dotąd niedostępnych. W bujnej fantazji przedstawiała sobie sceny rozczulające. Przebaczy i zapomni, co tylko jej kiedy przykrego wyrządzili; za złe

dobrem wynagrodzi. Pomagała już w duchu Helenie i przerabiała jej suknie przeszarzane, żeby świeżo i modnie wyglądały; panią Althaus wyręczała z dziecięcą miłością we wszelkich domowych kłopotach, wskazując źródła najtańsze.

Biedna męczennica usta do krwi zagryzła żeby nie krzyknąć z bolu i wstydu. Pięknie by się wybrała z podobnemi propozycjami w obec pychy szatańskiej, lekceważenia pani Althaus! Toż by ją wyśmiała gdyby mogła odgadnąć, o czem to marzyło jej serduszko najpoczciwsze!

Zatrzymała się w furtce od ogródka. Nie rada by się była spotkać z rodziną murarza. Nie raz oni ją przed Maksem ostrzegali, osądziwszy swoim chłopskim rozumem trafnie i najsłuszniej brak charakteru, słabość i chwiejność nie do przebaczenia u mężczyzny.

Na szczęście, zgromadzili się wszyscy w około ogniska, oświetlającego łuną purpurową całą kuchenkę.

Wsunęła się na schody cichuteńko. Naprzód! Tak być musi!

Otworzyła drzwi i weszła do pokoju.

Oczy były suche, a jedna kpiekły ją i lampy blasku znieść nie mogła. Uderzył ją widok matki, swobodnej, dobrodusznie uśmiechniętej i jak zwykle o tej godzinie krzątającej się około stolika z herbatą. Dziś był suciej zastawiony; na środku paradowała babka z mąki kartoflanej, kompot ze świeżych śliwek i rumu flaszeczka.

Marta zatrzymała się w głębi, odwrócona do pieca, niby dla rąk ogrzania. Zwolna zdjęła płaszcz i kapelusz.

— Pachnie zachwycająco! — matka nalawszy herbaty sobie i córce wąchała rum z zadowoleniem.— Dawno na herbatkę się cieszyłam!... Zimno bowiem dzisiaj. Spiesz że się dziecko i wypij póki gorąca — zachęcała Martę.

Jakże by rada była zostawić matce dość czasu, aby w spokoju herbatkę wypiła. Zbliżyła się do stolika biorąc machinalnie w ręce nalaną filiżankę.

Matka przypadkiem na nią spojrzała i w tej chwili krzyknęła:

— Na miły Bóg! mów co się stało?

Chciała odpowiedzieć. Poruszyła ustami. Głos uwiązł w gardle wyschniętem— nie była w stanie słowa wydobyć. Rzuciła bilet na stół.

Matka pochwyciła go drżącemi rękami. Ale gdzież są okulary? Przetrzęsła wszystkie kąty, a one tymczasem leżały najspokojniej pod lampą. Pokryły się parą z samowara; musiała szkła przetrzeć. Robiła wszystko z pośpiechem gorączkowym. Ludziom tak samo pilno i tak samo tracą niemal przytomność gdy mają dowiedzieć się o wielkiem szczęściu lub o wielkiej niedoli. Nareszcie pismo przebiegła wzrokiem zamglonym.

Usiadła drżąca na krześle najbliższem bezmyślnie w jeden punkt się wpatrując. To trochę inaczej wyglądało niż mrzonki, które z córką do spółki roiła. Po chwili szepnęła głosem stłumionym:

— Nic a nic nie rozumiem...

— Oh! nader łatwo zrozumieć!— Marta odezwała się teraz z gorzkim sarkazmem. — Matka potrafiła w nim złamać wszelki opór. Nie daremnie nosi nazwisko Mühlsteinów! Z ciężkością koła młyńskiego w pył ściera wszystko: majątek, dolę męża, szczęście syna! Gdzież by ta dumna arystokratka chciała zniżyć się aż do nas istot ubogich, które muszą pracować własnoręcznie na chleba kawałek.

— Nie potrzebywał by znowu Maks tak dalece zniżać się do ciebie — matka energicznie zaprotestowała. — Pochodzicie oboje z zacnego rodu, ojcowie wasi byli urzędnikami jednego stopnia; ty więc tak samo jak Maks, możesz być dumną z twojego stanu.

— Stan! — wybuchnęła Marta gwałtownie, a ciemne jej oczy gniewem zapałały. — Niech mama nie wymawia w obec mnie tego wyrazu nienawistnego! Położenie, stanowisko, to widmo nieszczęsne i fatalne, które tak Maksa biednego, jak i tysiące innych wiedzie na bezdroża i morduje bez litości. Z powodu stanu owego nie wolno mu uprawiać talentu, zapomocą którego mógłby utrzymać się, a nawet pomyśleć o domowem ognisku, musiał obrać sobie zawód nie licujący z jego usposobieniem, wręcz przeciwny jego naturze. Zgubiony moralnie i fizycznie jak każdy, zmuszony zaprzeć się swojego ja własnego! A cóż mnie przyszło z mojego stanu? Kto szczęśliwszy, ja której nie było wolno pokazać się w dzień biały z narzeczonym, czy prosta dziewka, która przez cały tydzień spełniając służbę najuciążliwszą, w niedzielę idzie pod rękę z kochankiem i hula zapamiętale, na nikogo się nie oglądając? Kogo więcej szanują? Czy mnie, którą od kiedy na chleb zarabiam, dawni znajomi unikają, czy stróża chodnik zamiatającego, któremu przynajmniej towarzysze za grzech pracy ciężkiej nie poczytują? Kto czuje się swobodniejszym? Ja, której nie wolno wyjrzeć na świat boży i odetchnąć świeżem powietrzem jeżeli nie mam całych trzewików, sukni i kapelusza według mody ostatniej, czy owo dziecię żebracze bose i w łachmanach, które biega którędy mu się podoba i gdzie chce na słońcu się wygrzewa? Przeklinam mój stan!... — podniosła w górę pięść drobną groźnie zaciśniętą.

Matka trzęsła się jak w febrze. Sięgnęła po książeczkę z ewangieljami na niedziele i główne dni świąteczne, a otworzywszy machinalnie zaczęła czytać półgłosem:

„Błogosławieni smętni, albowiem będą pocieszeni“...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Korespondencja redakcji.

Wna L. Ob. w Przem. — Umieścimy wkrótce.
Wna. F. M. w N. S. — Dziękujemy. Użyjemy w przyszłości.

„Drukarnia Polska“ ulica Jagiellońska l. 16.